

Genialna i oszałamiająca.  
Książka, którą musi przeczytać każdy.

Gillian Flynn

autorka *Zaginionej dziewczyny*



MOJA  
MROCZNA  
VANESSA

K A T E

E L I Z A B E T H

R U S S E L L





KATE ELIZABETH  
RUSSELL

**MOJA  
MRO CZNA  
VANESSO**

tłumaczenie Robert Sudół

  
**OTWARTE**  
KRAKÓW 2020

Tytuł oryginału: *My Dark Vanessa*

Copyright © 2020 by Kate Elizabeth Russell

Copyright © for the translation by Robert Sudół

Wydawca prowadzący: Monika Rossiter, Olga Orzel-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Malocha

Przyjęcie tłumaczenia: Magdalena Drab

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: kobieta – Vladimir Serov / Getty Images Poland,  
ćma – Richard Newstead / Getty Images Poland

Fotografia autorki: Elena Seibert

ISBN 978-83-8135-042-6



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*Dorastałam i kształciłam się w Maine – najpierw w prywatnej szkole, z której odeszłam z przyczyn osobistych, potem w college’u. Jestem świadoma, że z powodu podobieństw między ogólnymi faktami z mojego życia a pewnymi wątkami tej powieści czytelnicy obeznani z moją biografią mogą wyciągnąć pochopny wniosek, że relacjonuję nieznanne dotąd prawdziwe wydarzenia. Nie jest tak – moja książka to w całości fikcja literacka, a postacie i miejsca są zmyślane.*

*Każdy, kto śledzi doniesienia medialne w ostatnich latach, zetknął się z przypadkami, które mogą przywołać na myśl fabułę mojej powieści, jest ona jednak dziełem wyobraźni. Wplotłam w nią również inne elementy takie jak teoria traumy, popkultura, postfeminizm na początku trzeciego tysiąclecia i własne ambiwalentne odczucia związane z Lolitą. Wszystko to stanowi normalny proces tworzenia fikcji literackiej. Powodowana nadmierną ostrożnością, pragnę powtórzyć, że nic w mojej powieści nie stanowi relacji z rzeczywistych wydarzeń. Oprócz ogólnych podobieństw, o których wspomniałam powyżej, nie jest to historia mojego życia, życia moich nauczycieli ani nikogo, kogo znam osobiście.*



*Dla prawdziwych z krwi i kości Dolores Haze  
i Vanessy Wye, których historii dotąd nie wysłuchano,  
nie rozumiano, nie przyjęto do wiadomości*





2017

Szykuję się do pracy, a wpis widnieje tam już od ośmiu godzin. Podkręcając włosy, odświeżam stronę. Jak dotąd 224 udostępnienia i 875 polubień. Wkładam czarny wełniany żakiet, znowu odświeżam. Szperam pod kanapą, żeby wyciągnąć czarne półbuty na płaskim obcasie, odświeżam. Do klapy przypinam złotą plakietkę z nazwiskiem, odświeżam. Za każdym razem liczby rosną, mnożą się komentarze.

*Jesteś bardzo silną osobą.*

*Odważna kobieta z Ciebie.*

*Co za potwór jest zdolny zrobić coś takiego dziecku?*

Zerkam na swój ostatni esemes wysłany do Strane'a cztery godziny temu: „Wszystko u Ciebie w porządku?”. Wciąż nie odpisał, nawet go nie przeczytał. Piszę następny – „Jestem tutaj, jeśli chcesz pogadać” – ale rozmyślam się i go kasuję, wysyłam tylko wymowny ciąg znaków zapytania. Odczekuję kilka minut, dzwonię do niego, lecz włącza się poczta głosowa, więc wciskam telefon do kieszeni i wychodzę z mieszkania, domykając drzwi za sobą. Nie ma sensu

za bardzo się starać. To on narobił tego całego syfu. Jego problem, nie mój.

Po przybyciu do pracy siadam na recepcji w kącie hotelowego lobby i daję różnym gościom wskazówki, dokąd iść i gdzie zjeść. Jest koniec gorącego sezonu, ostatni Nieliczni turyści przewijają się tędy, żeby zobaczyć przyrodę, zanim Maine zabarykaduje się przed nadejściem zimy. Z dyżurnym uśmiechem, który nie obejmuje oczu, rezerwuję stolik na kolację dla pary świętującej pierwszą rocznicę ślubu i polecam wstawić do ich pokoju butelkę szampana, aby czekała tam na nich po powrocie – gest, który daleko wykracza poza to, co gwarantuje dobry napiwek. Dzwonię do korporacji taksówkarskiej, żeby jedna rodzina dotarła na lotnisko. Mężczyzna na delegacji, który zatrzymuje się w naszym hotelu co drugi poniedziałek, przynosi mi trzy brudne koszule i pyta, czy pralnia chemiczna upora się z nimi na jutro.

– Zajmę się tym – odpowiadam.

Uśmiecha się i mruga do mnie.

– Jesteś najlepsza, Vanesso.

Podczas przerwy siadam w pustym biurowym boksie na zapleczu i wpatrzona w telefon jem pozostałą po cateringowej imprezie kanapkę z poprzedniego dnia. Sprawdzanie wpisu na Facebooku stało się kompulsywne, nie mogę powstrzymać ruchliwych palców ani oczu zerkających na ekran, chłonących coraz większą liczbę polubień i udostępnień, dziesiątek pochwał w rodzaju „jesteś nieustraszona, mów dalej prawdę, wierzymy Ci”. Gdy to czytam, miga wielokropek – w tej właśnie sekundzie ktoś pisze komentarz. A potem, jak za sprawą czarów, pojawia się kolejny wpis, kolejne słowa otuchy i wsparcia, a ja w reakcji na to odsuwam telefon i wrzucam resztę czerstwej kanapki do kosza na śmieci.

Właśnie zamierzam wrócić do recepcji, gdy aparat zaczyna wibrować: „Połączenie: Jacob Strane”. Odbieram, śmiejąc się, czując ulgę, że on żyje, że dzwoni.

– Wszystko u ciebie w porządku?

Przez moment panuje głucha cisza, zastygam ze spojrzeniem wbitym w okno, które wychodzi na Monument Square, a tam targ płodów rolnych i gastrobusy. Jest początek października, jesień w pełnej krasie, pora, kiedy wszystko w Portland wygląda jak rodem z katalogu L.L.Bean – dynie i tykwy, dzbany cydru. Plac przecina kobieta w kraciastej flaneli i półgumiakach, uśmiechając się do niemowlaka w nosidelku na jej klatce piersiowej.

– Strane.

Wzdycha ciężko.

– Domyślam się, że widziałaś.

– Tak – odpowiadam. – Widziałam.

Nie zadaję pytań, ale i tak zaczyna wyjaśniać. Mówi, że szkoła wszczyna dochodzenie, a sam przygotowuje się na najgorsze. Spodziewa się, że każą mu zrezygnować. Wątpi, że dotrwa do końca roku szkolnego, może nawet nie dociągnie do przerwy bożonarodzeniowej. Słyszając jego głos, przeżywam taki szok, że z trudem nadążam za tym, co mówi. Minęły miesiące, odkąd rozmawialiśmy ostatni raz, kiedy to dopadła mnie panika po śmierci mojego ojca, który zmarł na zawał serca. Wtedy powiedziałam Strane’owi, że dłużej nie dam rady. Był to taki sam przypływ wyrzutów sumienia, jakiego doznawałam przez lata pełne porażek – utrata jednej i drugiej pracy, rozstania, załamania – jakby nagle bycie dobrym człowiekiem mogło cofnąć czas i naprawić wszystko, co spieprzyłam.

– Ale przecież przeprowadzili dawniej dochodzenie, kiedy była twoją uczennicą – mówię.

– Wznowili. Przesłuchują wszystkich drugi raz.

– Skoro wtedy uznano, że nie zrobiłeś nic złego, dlaczego teraz miałoby być inaczej?

– Oglądałaś ostatnio wiadomości? – pyta. – Żyjemy w innych czasach.

Chcę mu powiedzieć, że dramatyzuje, że wszystko będzie dobrze, skoro jest niewinny, ale wiem, że ma rację. W ostatnim miesiącu to nabrało rozmachu – rzesza kobiet demaskujących mężczyzn jako sprawców molestowania seksualnego. Na celowniku znaleźli się głównie celebryci – muzycy, politycy, gwiazdorzcy filmowi – ale nazwiska mniej znanych sprawców również się pojawiły. Bez względu na swój status przechodzą przez to samo. Najpierw wszystkiemu zaprzeczają. Potem, gdy staje się jasne, że oskarżenia nie ucichną, skompromitowani mężczyźni składają dymisję i mgliste przeprosiny, które nigdy nie oznaczają wyraźnego przyznania się do winy. I wreszcie ostatni etap: milkną i znikają. To wręcz surrealistyczne doznanie, gdy dzień w dzień oglądam tę samą sensację, widzę, jak łatwo idą na dno.

– Będzie dobrze – mówię. – Wszystko, co napisała, to stek kłamstw.

Strane robi wdech, powietrze świszcze mu przez zęby.

– Nie wiem, czy kłamie, przynajmniej formalnie to nie!

– Ale przecież ledwo jej dotknąłeś. A w tym wpisie ona twierdzi, że ją napadłeś.

– Napadłem – prycha. – Napaść to może być prawie wszystko, tak samo jak naruszenie nietykalności cielesnej może oznaczać, że chwyciłaś kogoś za nadgarstek albo go odepchnęłaś. To nic nieznaczący termin prawniczy.

Patrzę przez okno na targ rolny: gęsty tłum, stado mew. Kobieta sprzedająca jedzenie otwiera metalowy pojemnik. Gdy wyciąga dwa tamales, bucha para.

– Skontaktowała się ze mną w zeszłym tygodniu – mówię. Chwila ciszy.

– Ach tak?

– Chciała wiedzieć, czy też się zgłoszę. Pewnie uznała, że będzie bardziej wiarygodna, jeśli mnie w to wciągnie.

Strane milczy.

- Nie odpisałam oczywiście.  
- No tak. Oczywiście.  
- Uznałam, że blefuje. Nie myślałam, że starczy jej odwagi. - Nachyliłam się do przodu, przyciskam czoło do szyby. - Wszystko będzie dobrze. Wiesz, po której stronie jestem.

W reakcji na te słowa Strane wzdycha głośno. Wyobrażam sobie uśmiech ulgi na jego twarzy, zmarszczki w kącikach oczu.

- To mi wystarczy - odpowiada.

Po powrocie do recepcji odpalam Facebooka, wpisuję do wyszukiwarki „Taylor Birch” i na ekranie od razu pojawia się jej profil. Pomijam krótki biogram, który przeglądam od lat, zdjęcia i drobne uaktualnienia i teraz, u góry, widzę wpis o Stranie. Liczby ciągle rosną - 438 udostępnień, prawie dwa tysiące polubień oraz nowe komentarze, więcej tego samego.

*To bardzo inspirujące.*

*Imponuje mi Twoja siła.*

*Głoś dalej swoją prawdę, Taylor.*

Kiedy się poznaliśmy, ja miałam piętnaście lat, Strane - czterdzieści dwa, prawie idealnie trzydzieści lat różnicy. Tak właśnie wtedy myślałam. Że różnica jest idealna. Lubiłam tę matematykę, trzy razy mój wiek, łatwo wyobrażałam sobie trzy Vanessy wpasowujące się w niego: jedna owinięta wokół jego mózgu, druga wokół serca, trzecia zamieniona w stan ciekły i krążąca w jego żyłach.

Powiedział, że od czasu do czasu słyszało się w Browick o romansach między nauczycielami i uczennicami, ale on nigdy nie uwikłał się w nic takiego, bo przed poznaniem mnie nie miał podobnych ciągót. Byłam pierwszą uczennicą, która go do tego pchnęła. Podobno dostrzegł we mnie coś takiego, co sprawiło, że warto było zaryzykować. Pociągał go mój powab.

Nie chodziło o to, że jestem bardzo młoda, nie w jego przypadku. Nade wszystko pokochał mój umysł. Powiedział, że mam inteligencję emocjonalną na poziomie geniusza, że mam talent literacki, że umiemy ze sobą rozmawiać, że może mi się zwierzyć. Że głęboko we mnie kryje się ciemny romantyzm, taki sam, jaki dostrzega w sobie. Że dopóki mnie nie poznał, nikt nie rozumiał tej jego mrocznej cechy.

- Taki mój pech - rzekł. - Że kiedy w końcu spotykam swoją bratnią duszę, ona ma piętnaście lat.

- Skoro narzekasz na swojego pecha - zripostowałam - to spróbuj postawić się na moim miejscu: mieć piętnaście lat i odnaleźć bratnią duszę w mocno starszym facecie.

Gdy to powiedziałam, zajął mi w twarz, aby się upewnić, że żartuję - oczywiście żartowałam. Nie chciałam mieć nic wspólnego z chłopcami w moim wieku, z ich łupieżem i trądzikiem, z ich okrucieństwem, z krojeniem dziewcząt na kawalki, ocenianiem naszych części ciała w skali od jeden do dziesięciu. To nie był mój świat. Uwielbiałam dojrzałą ostrożność Strane'a, jego nieśpieszne zaloty. Kolor moich włosów przyrównywał do barwy klonowych liści, wsuwał mi wiersze do ręki - Emily, Edna, Sylvia. Sprawił, że postrzegałam siebie jego oczami - jako rudowłosą dziewczynę, która powstanie „z popiołów, by jeść mężczyzn jak powietrze”. Kochał mnie tak bardzo, że czasem, gdy wyszłam z klasy po skończonej lekcji, siadał na moim krześle, kładł głowę na biurku i próbował wchłonąć to, co po mnie zostało. A to wszystko działo się, zanim choćby się pocałowaliśmy. Postępował ze mną bardzo ostrożnie. Starał się mnie nie skrzywdzić.

Nietrudno wskazać, kiedy to się zaczęło, tę chwilę, gdy weszłam do zalanej słońcem klasy i poczułam, jak pożera mnie oczami po raz pierwszy, trudniej natomiast wskazać, kiedy to się skończyło. Chyba gdy miałam dwadzieścia dwa lata, gdy powiedział, że musi się wziąć w garść, że nie może wieść

przypoitego życia, skoro wciąż jestem w zasięgu, niemniej w ostatnich dziesięciu latach były późnowieczorne telefony, oboje przeżywaliliśmy na nowo naszą przeszłość, rozdrapując ranę, której nie pozwalaliśmy się zbliżnić.

Przypuszczam, że to do mnie zwróci się Strane za dziesięć, piętnaście lat, kiedy jego ciało zacznie szwankować. Taki prawdopodobnie będzie koniec tej miłosnej historii: ja rzucam wszystko i staram się ze wszystkich sił, wierna jak pies, a on wciąż bierze ode mnie, bierze i bierze.

O jedenastej wychodzę z pracy i ruszam przez puste śródmiejskie ulice, odliczając każdą kolejną przecnicę, uznając niezaglądanie na Facebooka za swoje osobiste zwycięstwo. W mieszkaniu nadal nie sprawdzam wpisu w telefonie. Odwieszam biurowy żakiet, zmywam makijaż, palę marychę w łóżku, gaszę światło. Samokontrola.

Ale po ciemku coś się we mnie budzi, czuję, jak kołdra ociera się o moje nogi. Nagle odczuwam silną potrzebę – aby zyskać pewność, aby mi powiedział w niedwuznacznych słowach, że nie zrobił niczego, o co oskarża go ta dziewczyna. Muszę znowu usłyszeć od niego, że ona kłamie, że kłamała dziesięć lat temu i kłamie teraz, porwana przez syrenią pieśń kobiet skrzywdzonych.

Odbiera, gdy jeszcze nie przebrzmiał pierwszy sygnał, jakby spodziewał się, że zadzwonię.

– Tak, Vanesso?

– Przepraszam, wiem, że jest późno. – Wzdragam się, bo nie wiem, jak poprosić o to, czego chcę. Minęło tyle czasu, odkąd zrobiliśmy to ostatni raz. Moje oczy błędzą po ciemnym pokoju, dostrzegając zarys uchylonych drzwi do szafy, na suficie poblask poświaty latarni ulicznej. W kuchni szumi lodówka i woda kapie z kranu. Jest mi to winien, za moje milczenie, za moją lojalność.

– Szybko się uwinę – mówię. – Tylko kilka minut.

Słysząc szelest pościeli, bo on siada i przekłada telefon od jednego ucha do drugiego. Przez chwilę myślę, że mi odmówi. Ale zaraz potem pólseptem, który zmienia moje kości w mleko, zaczyna opowiadać o tym, jaka byłam:

– Vanessa, taka młoda, skąpana we własnym pięknie. Nastolatka, taka erotyczna i pełna życia, że piekielnie się bałem.

Przekręcam się na brzuch i wsuwam poduszkę między nogi. Proszę, aby podsunął mi jakieś wspomnienie, coś, w co mogłabym się wślizgnąć. Milczy, przeglądając sceny w swojej głowie.

– W gabinecie, na tyłach klasy – mówi. – Był środek zimy. Leżałaś na kanapie, gęsia skórka na całym ciele.

Zamykam oczy i już jestem w tym gabinecie – białe ściany i połyskująca drewniana podłoga, na stole plik niesprawdzonych wypracowań, szorstka kanapa, syczący kaloryfer, pojedyncze okno, ośmioboczne, z szybą koloru morskiej piany. Wbiłam spojrzenie w to okno, gdy się do mnie dobierał, czułam, jakbym była pod wodą, ciało nieważkie i ruchliwe, obojętne, gdzie góra, gdzie dół.

– Całowałam cię, coraz niżej. Aż się zagotowałaś. – Parska cichym śmiechem. – Tak to nazywałaś. Że się gotujesz. Wymyślałaś te śmieszne wyrażenia. Byłaś bardzo wstydliva, nie cierpiałaś mówić o tym, chciałaś tylko, żebym to robił. Pamiętasz?

Nie pamiętam, w każdym razie niezbyt dokładnie. Wiele moich wspomnień z tamtych dni się zatarło, podziurawiło. To on musi zapłacić luki, choć czasem opisywana przez niego dziewczyna wydaje się obcą osobą.

– Z trudem zachowywałaś ciszę – ciągnie. – Zagryzałaś język. Pamiętam, że raz tak mocno ugryzłaś się w dolną wargę, że zaczęła ci lecieć krew, ale nie pozwoliłaś mi przestać.

Wciskam twarz w materac, ocieram się o poduszkę, a jego słowa wlewają mi się do umysłu i przenoszą mnie z łóżka w przeszłość, w której mam piętnaście lat i jestem naga od



pasa w dół, rozłożona na kanapie w jego gabinecie, drzę, płoną, gdy on klęczy między moimi nogami, wpatrzony we mnie.

– Mój Boże, Vanesso, twoje usta – mówi. – Krew ci leci.

Kręcę głową i wbijam palce w poduszkę. Nie szkodzi, nie przerywaj. Dokończ.

– Byłaś nienasycona – dodaje. – To twoje jędrne ciało.

Dochodzę, oddychając ciężko przez nos, a on pyta, czy pamiętam, co wtedy czułam. Tak, tak, tak. Pamiętam. Tak, uczucia potrafiłam w sobie zachować – doznania, gdy to ze mną robił, gdy sprawiał, że moje ciało wilo się i błagało o więcej.

Z Ruby spotykam się od ośmiu miesięcy, a więc odkąd umarł mój ojciec. Na początku była to terapia żałoby, ale potem przemieniła się w sesje, na których mówiłam o matce, byłym chłopaku, o tym, że czuję się wypalona w pracy, wypalona w życiu. To rozrzutność, nawet pomimo zaniżonych cen u Ruby – pięćdziesiąt dolarów za to, żeby ktoś mnie wysłuchał raz w tygodniu.

Jej gabinet znajduje się kilka przecznic od hotelu, łagodnie oświetlony pokój z dwoma fotelami i pudełkami chusteczek higienicznych na stolikach. Okna wychodzą na Casco Bay: mewy roją się nad molami rybackimi, powolne tankowce, amfibijne „kaczory” z turystami, które kwaczą, gdy ześlizgują się na wodę, przemieniając z pojazdu kołowego w statek. Ruby jest starsza ode mnie, starsza raczej jako siostra, a nie matka, z szarawymi włosami, w hipisowskim ubraniu. Uwielbiam jej drewniaki, stuk-stuk-stuk, gdy stąpa po podłodze.

– Vanesso!

Uwielbiam też, jak wymawia moje imię, gdy otwiera drzwi, jakby odczuwała ulgę, że to mnie widzi w progu, a nie kogoś innego.

W tym tygodniu rozmawiamy o perspektywie mojego powrotu do domu na zbliżające się wakacje, pierwsze bez taty.

Martwię się, że moja matka ma depresję, i nie wiem, jak poruszyć z nią ten temat. Razem z Ruby opracowujemy plan. Omawiamy różne scenariusze, najbardziej prawdopodobne reakcje mamy na moją sugestię, że być może potrzebuje pomocy.

– Jeśli podejdziesz do tego empatycznie, to wszystko będzie okej – mówi Ruby. – Jesteście sobie bliskie. Potraficie chyba rozmawiać o trudnych sprawach.

Jesteśmy sobie bliskie? Nie oponuję, ale się nie zgadzam. Czasem aż się dziwię, że tak łatwo potrafię wprowadzać ludzi w błąd, chociaż wcale mi na tym nie zależy.

Udaje mi się powstrzymać od zajrzenia na Facebooka aż do końca sesji, kiedy to Ruby wyjmuje telefon, żeby wstukać do kalendarza datę naszego następnego spotkania. Podnosi wzrok i dostrzega moje wściekle przewijanie. Pyta, czy są jakieś sensacyjne wiadomości.

– Niech zgadnę – mówi. – Kolejny dewiant zdemaskowany?

Spoglądam na nią, czując zimno w kościach.

– To nie ma końca, prawda? – ciągnie. Uśmiecha się smętnie. – Już się nie wywiną.

Zaczyna mówić o ostatniej kompromitacji w wielkim świecie, o reżyserze, który zrobił karierę na kręceniu filmów o skrzywdzonych kobietach. Okazało się, że poza kadrem lubił obnażać się przed młodymi aktorkami i namawiał je, żeby mu zrobiły loda.

– Kto by pomyślał, że z faceta taki gagatek? – pyta Ruby ironicznie. – Właściwie to jego filmy są wystarczającym dowodem. Najciemniej pod latarnią.

– To nasza wina – odpowiadam. – Przymykamy oczy.

Kiwa głową.

– Święta racja.

Czuję dreszczyk emocji, gdy tak ocieramy się o sprawę Strane'a.

– Nie wiem, co myśleć o tych wszystkich kobietach, które ciągle z nim pracowały – mówię. – Nie mają szacunku do siebie?

– Nie można ich obwiniać – odpowiada Ruby.  
Nie spieram się, podaję jej tylko czek.

W domu upalam się i zasypiam na kanapie, z niepogaszonymi światłami. O siódmej rano mój telefon wibruje na podłodze, więc wlokę się przez pokój, żeby go podnieść. Mama.

Cześć, skarbie, myślę o Tobie.

Wpatrzona w ekran próbuję wyczuć, ile ona wie. Wpis Taylor widnieje na Facebooku już trzeci dzień, a choć mama nie ma żadnych związków z nikim w Browick, to jednak pojawiło się jego mnóstwo udostępnień. Poza tym w dzisiejszych czasach ona ciągle siedzi w internecie, bez końca lubi, nie lubi, udostępnia i awanturuje się z konserwatywnymi trollami. Bardzo prawdopodobne, że widziała ten wpis.

Zamykam esemesa i wyświetlam Facebooka: dwa i pół tysiąca udostępnień, siedem tysięcy dziewięćset polubień. Wieczorem Taylor uaktualniła swój wpis.

*WIERZCIE KOBIETOM.*

**2000**

Gdy skręcamy na dwupasmową szosę prowadzącą do Norumbegi, mama mówi:

– Naprawdę chciałabym, żebyś w tym roku znalazła przyjaciół.

Zaczynam drugą klasę w szkole średniej, to dzień przeprowadzki do internatu, a ta podróż to ostatnia szansa dla mamy, żeby skłonić mnie do dotrzymania obietnic, zanim Browick mnie wchłonie, a jej kontakt ze mną będzie ograniczony do telefonów i przerw semestralnych. W zeszłym roku martwiła się, że internat mnie zdemoralizuje, więc zmusiła mnie, abym przyrzekła, że nie będę piła alkoholu i uprawiała seksu. W tym roku chce, abym przyrzekła, że nawiążę nowe przyjaźnie, co odczuwam jako wielokrotnie bardziej obraźliwe, może nawet okrutne. Mój rozłam z Jenny nastąpił pięć miesięcy temu, ale rana ciągle jest świeża. Od słów „nowe przyjaźnie” wywracają mi się bebecchy, sam pomysł wydaje się zdradą.

– Nie chcę, żebyś całe dnie i wieczory spędzała sama w pokoju – mówi. – Czy to źle?

– Gdybym była w domu, też siedziałabym w swoim pokoju.

- Ale nie będziesz w domu. O to przecież chodzi. Pamiętam, jak mówiłaś coś o „tkance społecznej”, gdy namawiałaś nas, żebyśmy pozwolili ci tu przyjechać.

Wciskam się w fotel, pragnąc się zdematerializować, żebym nie musiała słuchać, jak mama używa moich słów przeciwko mnie. Półtora roku temu, gdy przedstawiciel Browick przyjechał do nas, ośmioklasistów, i zaprezentował wideo w celu naboru nowych uczniów, ukazujące wypielegnowany kampus skąpany w złotych promieniach słońca, rozpoczęłam długą kampanię namawiania rodziców, aby pozwolili mi ubiegać się o miejsce w tej szkole. Sporządziłam dwudziestopunktową listę pod tytułem „Oto dlaczego Browick jest lepsze niż liceum państwowe”. Jednym z punktów była właśnie „tkanka społeczna” szkoły razem z wysokim wskaźnikiem przyjęć na studia wśród tamtejszych absolwentów, szeroką ofertą zajęć dodatkowych, korzyściami, o których przeczytałam w broszurze. W końcu wystarczyły tylko dwa punkty z tej listy, żeby przekonać rodziców. Uzyskałam stypendium, dzięki czemu nauka nie musiała ich nic kosztować, poza tym właśnie wtedy doszło do masakry w Columbine. Przez całe dni oglądaliśmy CNN, zapętlone ujęcia dzieci uciekających przed śmiercią. Gdy stwierdziłam, że w Browick nie doszłoby do niczego podobnego, rodzice wymienili spojrzenia, jakbym wyraziła na głos ich myśli.

- Przez całe lato użalałaś się nad sobą - mówi mama. - Czas się otrząsnąć, żyć dalej.

- Nieprawda - mruczę, ale owszem, to prawda.

Jeśli nie wpatrywałam się tępo w telewizor, to wylegiwałam się w hamaku, ze słuchawkami na głowie, słuchając piosenek, które gwarantowały, że popłyną mi łzy. Mama twierdzi, że roztkliwianie się nad sobą nie jest sposobem na życie, że zawsze coś będzie nas gnębić, a sekretny przepis na szczęście to nie popadać w negatywizm. Nie rozumie, jak satysfakcjonujący bywa smutek; godziny spędzone w hamaku, z muzyką

Fiony Apple w uszach sprawiają, że czuję się lepiej, niż czułabym się, gdybym była szczęśliwa.

Zamykam oczy w samochodzie.

– Szkoda, że tata z nami nie jedzie, bo wtedy nie rozmawiałabyś tak ze mną.

– Powiedziałby ci dokładnie to samo.

– Tak, ale nie tak ostro.

Nawet z zamkniętymi oczami widzę wszystko, co przemyka za oknem. To dopiero druga klasa w Browick, ale pokonałyśmy tę drogę już kilkanaście razy. Są gospodarstwa mleczne i pagórkowate tereny zachodniego Maine, sklepy wielobranżowe reklamujące zimne piwo i żywe przynęty, wiejskie domy z zapadniętymi dachami, skupiska zardzewiałych samochodów na podwórkach z trawą i nawłocią sięgającymi do pasa. Gdy wjeżdża się do Norumbegi, wszystko staje się piękne – idealne śródmieście, piekarnia, księgarnia, włoska restauracja, sklep z dopalaczami, biblioteka publiczna i kampus liceum Browick na wzgórzu, połyskujący białą oblicówką i cegłą.

Mama skręca w stronę głównego wejścia. Wielki szyld „Szkola Browick” udekorowano bordowymi i białymi balonami z okazji otwarcia internatu, a wąskie drogi w obrębie kampusu są zapchane samochodami i SUV-ami z dobytkiem, zaparkowanymi gdzie popadnie, rodzice i uczniowie przechadzają się dokoła, popatrując na budynki. Mama siedzi pochylona, zgarbiona nad kierownicą, i napięcie między nami rośnie, gdy samochód bryka do przodu, zastyga, znowu bryka.

– Jesteś bystrą, interesującą dziewczyną – stwierdza. – Powinnaś mieć duże grono przyjaciółek. Nie daj się wciągnąć w spędzanie czasu tylko z jedną osobą.

Zapewne nie chciała, żeby jej słowa zabrzmiały tak ostro, mimo to zaraz odwróciła się:

– Jenny nie była jedną osobą. Mieszkałyśmy razem.

Mówię to tak, jakby „mieszkanie razem” oznaczało oczywiste relacje – oszalamiającą bliskość i to, jak czasem świat

poza wspólnym pokojem cichł i bladł – ale mama tego nie rozumie. Nigdy nie mieszkała w akademiku, nie chodziła na studia, a co dopiero do szkoły z internatem.

– Razem czy nie razem, mogłaś mieć jeszcze inne koleżanki. Chcę ci tylko powiedzieć, że skupienie całej uwagi na jednej osobie nie jest zbyt zdrowe.

Z przodu w łańcuchu samochodów pojawia się rozstęp, zbliżamy się do błoni. Mama włącza prawy kierunkowskaz, potem lewy.

– Którędy mam jechać? – pyta.

Wzdycham i wskazuję w lewo.

Gould to mały internat, właściwie dom z ośmioma pokojami i jednym mieszkaniem dla opiekunki. Pod koniec zeszłego roku szkolnego wylosowałam niski numer w loterii, więc dostałam jednoosobowy pokój – rzadkość w przypadku drugoklasistki. Trzeba aż czterech kursów z mamą, żebym zwoziła cały swój dobytek: dwie walizki pełne ubrań, pudło książek, dodatkowe poduszki, pościel, koldrę uszytą z T-shirtów, z których wyrosłam, i wentylator na nóżce, który ustawiamy na środku pokoju, żeby wachlował wszystko.

Gdy się rozpakowujemy, ludzie przechodzą obok moich otwartych drzwi – rodzice, uczniowie; czyjś młodszy brat biega po korytarzu, aż w końcu się przewraca i zaczyna płakać. W pewnej chwili mama idzie do toalety i słyszę, że wita się z kimś tym swoim fałszywie uprzejmym tonem, a odpowiada jej głos innej kobiety. Przerywam układanie książek na półce, żeby posłuchać. Mrużąc oczy, usiłuję skojarzyć głos – oho, to pani Murphy, matka Jenny.

Mama wraca do pokoju, zamyka za sobą drzwi.

– Okropny tam hałas – mówi.

– To była mama Jenny? – pytam, przesuwając książki na półce.

– Mhm.

– A Jenny widziałaś?

Kiwa głową, ale nic więcej. Przez moment rozpakowujemy rzeczy w milczeniu.

Odzywam się, gdy naciągamy prześcieradło na pasiasty materac:

– Naprawdę bardzo jej współczuję.

Podoba mi się, jak to brzmi, ale oczywiście to kłamstwo. Zaledwie poprzedniego wieczoru przez godzinę oglądałam się w lustrze, usiłując zobaczyć siebie oczami Jenny, zastanawiając się, czy dostrzeże, że włosy rozjaśniłam sun in i mam nowe kolczyki w uszach.

Mama w milczeniu wyjmuje koldrę z foliowej torby. Wiem, że się martwi, iż zatoczę koło i znowu będę miała pęknięte serce.

– Gdyby nawet chciała się znowu zaprzyjaźnić, ja nie będę już marnowała na nią czasu – mówię.

Uśmiecha się blado, wyglądając koldrę na łóżku.

– Ciągle chodzi z tym chłopakiem?

Ma na myśli Toma Hudsona, sympatię Jenny, powód naszego konfliktu. Wzruszam ramionami, że niby nie wiem, ale wiem. Oczywiście, że wiem. Przez całe lato podglądałam profil Jenny na AOL, a jej status wciąż pozostawał „zajęty”. Nadal są razem.

Przed odjazdem mama daje mi cztery dwudziestodolarowe banknoty i wymusza na mnie obietnicę, że będę dzwoniła do domu w każdą niedzielę.

– Tylko nie zapomnij – przykazuje. – I masz się zjawić na urodziny taty.

Ściska mnie na pożegnanie tak mocno, że kości bołą.

– Nie mogę oddychać.

– Oj, przepraszam.

Wkłada okulary przeciwsłoneczne, żeby zakryć zażawione oczy. W drodze do wyjścia wskazuje mnie palcem.

– Bądź dla siebie dobra. I nie bądź odludkiem.

Macham lekceważąco ręką.



– Jasne, jasne.

Z progu patrzę, jak idzie korytarzem, znika na klatce schodowej i już jej nie ma. Stojąc w drzwiach, słyszę dwa zbliżające się głosy, dudniący radosny śmiech matki i córki. Gdy obie się pojawiają, dają nura w bezpieczną przestrzeń swojego pokoju. Jenny i jej mama. Dostrzegam je ledwie w przelocie, ale wystarczy, aby zobaczyć, że niedawna przyjaciółka skróciła włosy i ma na sobie sukienkę, która przez cały ostatni rok wisiała w szafie, ani razu niewłożona.

Leżąc na wznak w łóżku, błędę spojrzeniem po pokoju i słucham pożegnań na korytarzu, pochlipywania i cichych płaczów. Wracam pamięcią do chwil sprzed roku, gdy jako pierwszoklasistka wprowadziłam się do internatu, do tego wieczoru zapoznawczego, kiedy to nie spałyśmy z Jenny aż do późna, a z jej boom boxa grali The Smiths i Bikini Kill, zespoły, o których nigdy wcześniej nie słyszałam, ale udawałam, że jest inaczej, bo bałam się, że w przeciwnym razie wyjdę na frajerkę i wieśniarę. Bo bałam się, że mnie nie polubi. W ciągu tych pierwszych dni w Browick napisałam w swoim pamiętniku: „Najbardziej podoba mi się to, że poznaję tutaj nowych ludzi, takich jak Jenny. Ona jest SUPER i wystarczy, że znajduję się obok niej, żeby się nauczyć, jak być taka sama”. Po tem wyrwałam tę kartkę, wyrzuciłam ją. Na jej widok twarz paliła mnie ze wstydu.

W internacie Gould opiekunką jest profesor Thompson, nowa nauczycielka hiszpańskiego, prosto po studiach. Na zebranie pierwszego wieczoru w świetlicy przynosi kolorowe markery i kartoniki, żebyśmy zrobiły wywieszki na drzwi. Pozostałe mieszkanki internatu to dziewczyny najstarszego rocznika, tylko ja i Jenny jesteśmy drugoklasistkami. Odsuwamy się od siebie jak najdalej, siadamy po przeciwnych stronach stołu. Jenny nachyla się, żeby wykonać wywieszkę, ciemne włosy przycięte na chłopczycę opadają jej na policzki.

Gdy podnosi głowę, żeby wciągnąć powietrze i zmienić flaster, jej spojrzenie przesuwają się po mnie, jakbym w ogóle nie istniała.

– Zanim się rozejdziecie, weźcie sobie po jednym – mówi profesor Thompson, otwierając foliową torebkę. Najpierw myślę, że to cukierki, ale potem widzę garść srebrnych gwizdek. – Najprawdopodobniej nie przydadzą się wam – dodaje – ale lepiej zaopatrzyć się na wszelki wypadek.

– Po co nam gwizdki? – pyta Jenny.

– No wiesz, to jeden ze środków bezpieczeństwa na kampusie.

Profesor Thompson uśmiecha się tak szeroko, że widać, iż jest zażenowana.

– W zeszłym roku ich nie miałyśmy.

– To w razie, gdyby ktoś próbował cię zgwałcić – wtrąca Deanna Perkins. – Gwizdzesz, żeby przestał. – Wsuwa gwizdek do ust i dmucha mocno.

Dźwięk rozchodzi się po korytarzu, jest tak imponująco głośny, że wszystkie musimy spróbować.

Profesor Thompson próbuje przekrzyczeć hałas:

– Dobrze już, dobrze. – Śmieje się. – W sumie warto sprawdzić, czy działają.

– Poważnie myślisz, że gwizdek powstrzymałby kogoś, kto chciałby cię zgwałcić? – pyta Jenny.

– Gwałciela nic nie powstrzyma – stwierdza Lucy Summers.

– Nieprawda – zaprzecza profesor Thompson. – Poza tym te gwizdki to nie są żadne antygwałty. To taki ogólny środek bezpieczeństwa. Jeśli coś złego dzieje się na kampusie, po prostu gwizdźcie.

– Chłopcy też dostali takie? – pytam.

Lucy i Deanna wywracają oczami.

– Po co chłopakom gwizdki? – odpowiada ta druga. – Zrób czasem użytek z szarych komórek.

W reakcji na to Jenny parska głośnym śmiechem, jakby nigdy wcześniej Lucy i Deanna nie wywracały oczami z jej powodu.

Jest pierwszy dzień roku szkolnego, kampus tętni życiem, okna w domach z oblicówką są pootwierane na oścież, parkingi kadry wypełnione po brzegi. Podczas śniadania piję czarną herbatę, przycupnąwszy przy końcu stołu, z żołądkiem tak ściśniętym, że nie mogę jeść. Krążę spojrzeniem po stolówce z katedralnym sufitem, chłonę nowe twarze i zmiany w tych znajomych. Zauważam wszystko u wszystkich – że Margo Atherton nosi przedziałek po lewej stronie, aby przysłonić niesprawne prawe oko, że każdego ranka Jeremy Rice kradnie banana. Zanim jeszcze Tom Hudson zaczął chodzić z Jenny, zanim pojawił się jakikolwiek powód, żeby się interesować jego poczynaniami, zauważyłam u niego kolekcję T-shirtów z nazwami zespołów, noszonych pod koszulką. To lekko upiorne i całkowicie poza moją kontrolą, ta umiejętność zauważania wielu szczegółów u innych ludzi, gdy jestem przekonana, że u mnie nikt nic nie dostrzega.

Akademia powitalna ma się odbyć zaraz po śniadaniu. Właściwie już po pierwszych słowach przeradza się w odprawę pomyślaną po to, żeby nas wdroić w nowy rok szkolny. Tłoczmy się w środku, aula to ciepłe drewno i czerwone aksamitne zasłony, krzesła ustawione w półkolistych rzędach jarzą się od wpadających do środka snopów światła. Przez pierwsze kilka minut tego zgromadzenia, gdy dyrektorka szkoły, pani Giles, ze szpakowatymi włosami zatkniętymi za uszy i chronicznie drżącym głosem świergoczącym po całej sali, omawia szkolne obyczaje i zasady, wszyscy wyglądają na wypucowanych, jak spod igły. Ale gdy schodzi ze sceny, w pomieszczeniu już jest duszno, a na wielu czołach perli się pot. Kilka rzędów z tyłu ktoś donośnie stęka: „Długo jeszcze?”. Profesor Antonova rzuca groźne spojrzenie przez ramię. Obok

mnie Anna Shapiro wachluje się dłonią. Podmuchy wiatru wpadają przez otwarte okna i poruszają krajem zaciągniętych aksamitnych zasłon.

A potem na scenę wkracza pan Strane, kierownik studium języka angielskiego, nauczyciel, którego rozpoznaje, ale z którym nigdy nie zamieniłam słowa. Ma faliste czarne włosy i czarną brodę, okulary, które odbijają światło, więc nie widać jego oczu, ale ja w pierwszej kolejności dostrzegam – pewnie dostrzega każdy – jego posturę. Nie jest gruby, ale duży, szeroki i tak wysoki, że garbi ramiona, jakby ciało chciało przeprosić za zajmowanie tak dużej przestrzeni.

Stanąwszy przy mównicy, musi wydłużyć nóżkę mikrofonu do oporu. Gdy zaczyna przemawiać – słońce odbija się od jego okularów – sięgam do plecaka i sprawdzam swój plan lekcji. Jest, ostatnia tego dnia: rozszerzona literatura amerykańska z profesorem Strane'em.

– Dziś rano widzę tutaj młodych ludzi u progu dokonywania wielkich rzeczy.

Jego głos dudni z głośników, wszystko wymawiane tak starannie, aż prawie niemiło słyszeć te długie samogłoski, twarde spółgłoski, jakby ktoś kołysał nas do snu tylko po to, żeby nas obudzić. To, z czym się do nas zwraca, daje się sprowadzić do kilku wytartych frazesów – „sięgnąć gwiazd”, „nieważne, czy sprostacie temu, czy tamtemu zadaniu, może kiedyś wyładujecie na Księżycu?” – ale jest dobrym mówcą i nadaje tym słowom głębszy sens.

– W tym roku szkolnym zawsze starajcie się dać z siebie wszystko, co najlepsze – ciągnie. – Stawiajcie sobie wyzwania, aby Browick stało się jeszcze lepszą szkołą. Pozostawcie po sobie ślad. – Sięga do tylnej kieszeni, wyjmuje czerwoną chustkę i ociera nią czoło, odsłaniając ciemną plamę przesączającą się przez koszulę pod pachą. – Jestem tutaj nauczycielem od trzynastu lat – mówi – i w tym czasie byłem

świadkiem niezliczonych aktów odwagi ze strony uczniów tej szkoły.

Wiercę się na krześle, świadoma potu zbierającego się w zgięciach kolan i łokci. Próbuję sobie wyobrazić, co Strane rozumie przez „akty odwagi”.

Mój jesienny semestr to rozszerzony francuski, rozszerzona biologia, historia powszechna, geometria (dla „geniuszy niematematycznych”, profesor Antonova nazywa to „geometrią dla tępaków”), zajęcia fakultatywne pod nazwą „wychowanie obywatelskie i media”, na których oglądamy CNN i rozmawiamy o zbliżających się wyborach prezydenckich, oraz rozszerzona literatura amerykańska. Pierwszego dnia kursuję po kampusie, od klasy do klasy, obładowana książkami – natychmiast stają się oczywiste zwiększone obciążenia w drugiej klasie w porównaniu z pierwszą. W miarę upływu godzin, gdy każdy nauczyciel zapowiada czekające nas wyzwania, prace domowe, egzaminy, przyśpieszone, czasem wręcz zawrotne tempo nauki – bo to nie jest zwykła szkoła, a my nie jesteśmy zwykłymi młodymi ludźmi, jesteśmy przecież wyjątkowi i powinniśmy stawiać czoło trudnościom, rozkwitać dzięki nim – ogarnia mnie zmęczenie. W środku dnia z trudem trzymam głowę prosto, więc zamiast coś zjeść podczas przerwy obiadowej, wślizguję się z powrotem do Gould, zwijam na łóżku i płaczę. Skoro zapowiada się tak ciężko, to po co w ogóle się starać? Niedobrze mieć takie nastawienie, zwłaszcza pierwszego dnia, zaczynam się więc zastanawiać, co ja w ogóle robię w Browick, dlaczego dali mi stypendium, dlaczego sądzili, że jestem dostatecznie bystra, żeby się tu uczyć. Po tej spirali zsuwałam się już wcześniej i za każdym razem dochodzę do tego samego wniosku: że coś chyba jest ze mną nie tak, że mam w sobie jakąś wrodzoną słabość, która daje o sobie znać jako lenistwo, lęk przed ciężką pracą. Poza tym wydaje się, że mało kto w Browick

męczy się tak bardzo jak ja. Biegają z klasy do klasy, znają każdą odpowiedź, są zawsze przygotowani. Jakby wszystko łatwo im przychodziło.

Gdy idę na zajęcia z literatury amerykańskiej, ostatnią lekcję tego dnia, to najpierw zauważam, że profesor Strane zmienił koszulę po akademii powitalnej. Stoi z przodu, oparty o tablicę, z rękoma założonymi na piersi, wygląda na jeszcze większego mężczyznę niż wcześniej na podium. Klasa składa się z dziesięciorga uczniów, w tym Jenny i Toma, a gdy zjawiamy się w sali, profesor przygląda się nam kolejno, mierzy nas wzrokiem. Kiedy wchodzi Jenny, siedzę już przy stole, dwa krzesła od Toma. On rozpromienia się na jej widok, wskazuje jej puste miejsce między nami – jest nieświadomy, w ogóle nie rozumie, dlaczego to niemożliwe. Ściskając ramię plecaka, Jenny posyła mu szybki uśmiech.

– Lepiej tam usiądźmy – mówi, mając na myśli przeciwną stronę stołu, mając na myśli krzesła stojące jak najdalej ode mnie. – Będzie lepiej.

Przemyka spojrzeniem po mojej twarzy tak samo jak podczas zebrania w internacie. W pewien sposób to wydaje się głupie, cały ten wysiłek wkładany w udawanie, że nasza przyjaźń nigdy nie istniała.

Rozbrzmiewa dzwonek oznaczający rozpoczęcie lekcji, lecz profesor Strane się nie porusza. Czeką, żeby w sali zapadła cisza, dopiero potem mówi:

– Przypuszczam, że wszyscy dobrze się znacie. Ale ja nie znam wszystkich.

Podchodzi do stołu i wskazując nas na chybił trafił, pyta o nazwiska i pochodzenie. Niektórym zadaje dodatkowe pytania – czy mamy rodzeństwo, gdzie najdalej dotąd podróżowaliście, gdybyście chcieli mieć inne imię, to jakie? Profesor pyta Jenny, ile miała lat, kiedy zakochała się po raz pierwszy, a ona czerwieni się jak burak. Obok niej czerwieni się Tom.

Wreszcie przychodzi moja kolej i mówię:

– Nazywam się Vanessa Wye i właściwie pochodzę znikąd.

Profesor Strane siada na krześle.

– Vanessa Wye pochodząca znikąd.

Śmieję się nerwowo, słyszę, jak głupio brzmią moje słowa, gdy powtarza je ktoś inny.

– To znaczy, to nie jest właściwie żadne miasto. Nie ma nawet nazwy. Ludzie mówią o nim „miejscowość numer dwadzieścia dziewięć”.

– Tu w Maine? – pyta profesor Strane. – Przy autostradzie na wschód? Wiem, gdzie to jest. Macie tam jezioro o takiej ładnej nazwie. Whale jakoś tam.

Mrugam zaskoczona.

– Whalesback Lake. Mieszkamy nad samym jeziorem. To jedyny całoroczny dom. – Gdy to mówię, w sercu czuję stare ukłucie. W Browick rzadko tęsknię za rodzinnymi stronami, ale może to dlatego, że nikt nie wie, skąd pochodzę.

– Poważnie? – Profesor Strane zamyśla się na moment. – Nie czujesz się tam czasem samotna?

Przez moment jestem osłupiała. To pytanie otwiera bolesną ranę, szokująco głęboką. Chociaż nigdy nie użyłabym słowa „samotna” na określenie tego, jak się czuję, żyjąc na naszym odludziu, to słysząc je teraz z ust profesora Strane’a, myślę, że to chyba prawda, że prawdopodobnie to zawsze była prawda, i nagle się peszę, wyobrażam sobie, że mam tę samotność wypisaną na twarzy, że to na tyle oczywiste, że nauczycielowi wystarczy jedno spojrzenie, aby wiedział, że jestem osobą samotną.

– Czasem chyba tak – wyduszam z siebie, ale profesor Strane już przechodzi dalej, pyta Grega Akersa, jak to jest przenieść się z Chicago na wzgórze zachodniego Maine.

Gdy już się wszyscy przedstawiliśmy, mówię, że jego zajęcia będą najtrudniejsze ze wszystkich w tym roku.

– Od wielu uczniów dowiaduję się, że jestem najsurowszym nauczycielem w całym Browick – dodaje. – Słyszałem, że surowszym niż nauczyciele na studiach. – Bębni palcami w stół i odczekuje, żebyśmy przyswoili sobie wagę tej informacji. Następnie podchodzi do tablicy, chwytą kawałek kredy i zaczyna pisać. – Powinniście już notować – mówi, zerkając przez ramię.

Rzucamy się na zeszyty, a on tymczasem rozpoczyna wykład o Henrym Wadsworthie Longfellowie i wierszu *Pieśń Hiawathy*, o którym nigdy nie słyszałam, niemożliwe, że tylko ja jedna, ale gdy pyta nas, czy go znamy, wszyscy kiwamy głowami. Nikt nie chce wyjść na ignoranta.

Wykład trwa, a ja zerkam ukradkiem po sali. Wnętrze jest takie samo jak w innych pomieszczeniach wydziału nauk humanistycznych – deski podłogowe, ściana z wbudowanymi biblioteczkami, zielona tablica, stół konferencyjny – ale wydaje się zamieszkałe i wygodne. Widzę dywan z wydeptaną ścieżką pośrodku, duże dębowe biurko oświetlone bankierką, ekspres do kawy i kubek z godłem Harvardu na szafce kartotekowej. Przez otwarte okno wpada woń skoszonej trawy i warkot uruchomionego silnika, a na tablicy profesor Strane pisze wers z Longfellowa z takim przejęciem, że kreda kruszy mu się w palcach. W pewnym momencie zastyga, odwraca się do nas i stwierdza:

– Jeśli jest coś, co powinniście wynieść z tych zajęć, to to, że świat składa się ze wzajemnie przecinających się historii, a każda ma sens i jest prawdziwa.

Staram się zapisywać dokładnie to, co mówi, każde słowo.

Wykład dobiega końca, gdy zostaje pięć minut do dzwonka. Profesor Strane opuszcza ręce po bokach, garbi ramiona. Odklada kredę i siada za stołem, pociera twarz, wzdycha ciężko. Następnie odzywa się zmęczonym głosem:

– Pierwszy dzień jest zawsze taki długi.

Czekamy wszyscy przy stole, niepewni, co powinniśmy zrobić, z długopisami wzniesionymi nad kartkami zeszytów.



Odsuwa ręce od twarzy.

– Będę z wami szczerzy – mówi. – Jestem kurewsko zmęczony.

Zaskoczona Jenny śmieje się po drugiej stronie stołu. Czasem nauczyciele pozwalają sobie na żarty podczas lekcji, ale jeszcze nigdy nie słyszałam podobnego przekleństwa. Do głowy by mi nie przyszło, że któryś mógłby tak powiedzieć.

– Nie przeszkadza wam, że używam niecenzuralnych słów? – pyta. – Zdaje się, że powinienem był was najpierw spytać o zgodę. – Klaszcze w dłonie, jest ironicznie szczerzy. – Jeśli mój dosadny język obraża kogoś z was, to niech przemówi teraz albo zamilknie na wieki.

Oczywiście nikt się nie odezwał.

\*

Pierwsze kilka tygodni nauki mija szybko, ciąg lekcji, śniadań złożonych z czarnej herbaty i lunchów złożonych z kanapek posmarowanych masłem orzechowym, ślęczenie w bibliotece, wieczory z siecią telewizyjną WB w świetlicy. Dostaję godzinny szlaban za opuszczenie zebrania w internacie, ale przekonuję profesor Thompson, żeby pozwoliła mi wyprowadzić jej psa, zamiast siedzieć z nią w gabinecie, co nie uśmiecha się żadnej z nas. Większość poranków przed lekcjami spędzam na odrabianiu zadań w ostatniej chwili, bo bez względu na to, jak bardzo się staram, zawsze się mozołę, zawsze grozi mi pozostanie w tyle. Nauczyciele powtarzają, że powinnam z tym coś zrobić, mówią, że jestem bystra, ale nieskoncentrowana, a to taki delikatny sposób powiedzenia, że leń ze mnie.

W ciągu zaledwie kilku dni od przeprowadzki mój pokój zmienia się w pobjowisko ubrań, luźnych papierów i kubków niedopitej kawy. Gubię gdzieś terminarz, który miał mi pomóc kontrolować bieg spraw, ale nic dziwnego, bo przecież

wszystko potrafię zapodziać. Co najmniej raz w tygodniu okazuje się, że ktoś powiesił moje klucze na klamce od zewnątrz, bo znalazł je w łazience, w klasie albo na stołówce. Wszystko mi się wymyka – podręczniki wpadają między łóżko a ścianę, wypracowania lądują pogniecione na dnie plecaka. Nauczyciele bez przerwy irytują się z powodu moich pomiętych zeszytów, przypominają, że odejmą mi punkty za niechlujstwo.

– Musisz być systematyczna! – krzyczy mój nauczyciel historii, gdy rozpaczliwie wertuję kartki w poszukiwaniu notatek z poprzedniego dnia. – Przecież to dopiero drugi tydzień. Jak to możliwe, że masz już wszystko tak rozgrzebane?

W końcu odnajduję notatki, lecz to niczego nie zmienia: jestem bałaganiarą, a to oznaka słabości, duża wada charakteru.

W Browick wychowawcy i ich podopieczni raz w miesiącu jedzą razem kolację, tradycyjnie w domu nauczyciela, ale moja wychowawczyni, profesor Antonova, nigdy nas do siebie nie zaprasza.

– Trzeba stawiać granice – mówi. – Nie wszyscy z ciała pedagogicznego się ze mną zgadzają, trudno. Ich całe życie to uczniowie, trudno. Ze mną jest inaczej. Pójdziemy gdzieś, zjemy, porozmawiamy trochę, a potem do domu. Granice.

Na pierwszą wspólną kolację w roku profesor Antonova zaprasza nas do włoskiej restauracji w centrum. Gdy skupiona nawijam makaron na widelec, ona stwierdza, że niesystematyczność uczniów jest w tej chwili najważniejszym tematem rozmów w pokojach nauczycielskich. „Spróbuję się poprawić”, mówię, starając się, aby nie zabrzmiało to zbyt lekceważąco. Profesor Antonova krąży wokół stołu i podaje nam kolejno liczbę zaliczonych punktów. Nikt oprócz mnie nie ma problemu z systematycznością, ale i tak nie jestem najgorsza: Kyle Guinn nie złożył prac domowych z dwóch przedmiotów, a to spore przewinienie. Gdy profesor Antonova czyta jego ocenę ogólną, wszyscy patrzymy w swoje talerze, odczuwając ulgę, że wypadliśmy lepiej niż on. Pod koniec

kolacji, kiedy nasze talerze są już puste, nauczycielka puszcza w obieg puszkę ciastek własnego wypieku, pączuszków z wiśniowym nadzieniem.

– To pampuszki – oznajmia. – Ukraińskie, takie, jakie robiła moja matka.

Gdy wychodzimy i ruszamy pod górę w stronę kampusu, profesor Antonova idzie obok mnie.

– Zapomniałam ci powiedzieć, Vanesso, że w tym roku powinnaś wziąć zajęcia dodatkowe. Może nawet kilka. Musisz mieć na względzie późniejsze studia. Bo na razie to wygląda marnie.

Zaczyna sugerować to i tamto, a ja kiwam głową. Zdaję sobie sprawę, że powinnam się bardziej zaangażować, próbowałam nawet – w zeszłym tygodniu poszłam na kółko języka francuskiego, ale zaraz zrezygnowałam, bo zobaczyłam, że członkowie wkładają małe czarne berety na każde zebranie.

– A może kółko pisarskie? – pyta. – To by pasowało, skoro piszesz wiersze.

Też o tym pomyślałam. Kółko pisarskie wydaje magazyn literacki, w zeszłym roku czytałam go od deski do deski, porównywałam swoje wiersze z wydrukowanymi, próbując zachować obiektywizm ocen.

– Może tak – odpowiadam.

Profesor Antonova dotyka mnie dłonią w ramię.

– Zastanów się – mówi. – W tym roku opiekunem jest profesor Strane. On zna się na rzeczy.

Zerkając przez ramię, klaszcze w dłonie i woła coś po rosyjsku do maruderów wlokących się z tyłu, a to, nie wiedząc czemu, o wiele skuteczniej skłania do przyśpieszenia kroku niż cokolwiek powiedziane po angielsku.

Oprócz mnie do kółka pisarskiego należy jeszcze tylko jedna osoba – trzecioklasista Jesse Ly, największy w Browick wyznawca gotyckiego rocka i domniemany gej. Gdy wchodzę do

klasy, on już siedzi przy stole konferencyjnym z plikiem papierów przed nosem, z nogami w wojskowych buciorach opartymi na krześle i długopisem zatkniętym za ucho. Zerka na mnie, ale nic nie mówi. Wątpię, czy wie choćby, jak mam na imię.

Natomiast profesor Strane zrywa się z za biurka i maszeruje przez pokój w moim kierunku.

– Ty do naszego kółka?

Otwieram usta, ale nie mam pojęcia, co odrzec. Gdybym wiedziała, że oprócz mnie będzie tylko jedna osoba, prawdopodobnie bym się na to nie zdecydowała. Najchętniej wycofałabym się teraz, lecz profesor Strane wydaje się zachwycony, ściska mi dłoń i mówi:

– Dzięki tobie liczba członków wzrośnie o sto procent.

Chyba za późno, żeby się rozmyślić.

Prowadzi mnie do stołu, siada obok i wyjaśnia, że ten plik papierów to teksty złożone do redakcji magazynu.

– Prace uczniów – dodaje. – Nie zwracaj uwagi na nazwiska. Ale czytaj uważnie teksty do końca, dopiero potem podejmij decyzję.

Mówi, że bym na marginesie pisała komentarze, później każdą pracę oceniła w skali od jednego do pięciu – jeden punkt to zdecydowane „nie”, pięć – zdecydowane „tak”.

– Do tej pory ja sam sprawdzałem – wtrąca Jesse, nie podnosząc głowy. – Przez cały ostatni rok.

Wskazuje plik tego, co już przerobił – w prawym górnym rogu widnieje ptaszek, ptaszek z minusem albo ptaszek z plusem. Profesor Strane unosi brwi, najwyraźniej poirytowany, ale Jesse tego nie zauważa. Nie odrywa wzroku od czytanego wiersza.

– Jakąkolwiek metodę obierzecie we dwoje, i tak będzie dobrze – mówi nauczyciel. Uśmiecha się do mnie, mruga powieką. Wstając, klepie mnie po ramieniu.

Gdy wraca za biurko po drugiej stronie pomieszczenia, wyjmuję z pliku pierwszy tekst, opowiadanie zatytułowane

„Najgorszy dzień w jej życiu” napisane przez Zoe Green. W zeszłym roku chodziłam z nią na zajęcia z algebry. Siedziała z tyłu i śmiała się, ilekroć Seth McLeod przeżywał mnie „Ruda Maruda”, jakby to była najzabawniejsza rzecz na świecie. Kręcąc głową, próbuję wyzbyć się uprzedzeń. No właśnie, dlatego profesor Strane powiedział, żeby nie patrzeć na nazwiska.

To historia dziewczyny, która czeka w szpitalu, bo umiera jej babcia. Jestem znudzona już po pierwszym akapicie. Jesse przyłapuje mnie na wertowaniu kartek, bo chcę sprawdzić, czy tekst jest długi, i mówi do mnie półgłosem:

– Nie musisz czytać do końca, jeśli to naprawdę kiepskie. Redagowałem nasz magazyn w zeszłym roku, gdy opiekunką była profesor Bloom. Nie miała nic przeciwko.

Zerkam na Strane’a, siedzącego za biurkiem, pochylonego nad plikiem papierów. Wzruszam ramionami.

– Nie szkodzi, przeczytam.

Jesse rzuca okiem na kartkę w moich dłoniach.

– Zoe Green, co? – pyta. – To ta, która w zeszłym roku rozkleiła się na szkolnej debacie.

Owszem, ta. Zoe, która miała za zadanie argumentować na rzecz słuszności kary śmierci, zalała się łzami w ostatniej rundzie, bo jej adwersarz Jackson Kelly nazwał jej stanowisko rasistowskim i niemoralnym, co prawdopodobnie nie ubodłoby jej tak bardzo, gdyby chłopak nie był czarny. Gdy obwołano go zwycięzcą konkursu, Zoe powiedziała, że poczuła się osobiście dotknięta jego ripostą, stanowiącą złamanie zasad debaty, więc skończyło się na tym, że obojgu przyznano zwycięstwo, co było idiotyczne i każdy o tym wiedział.

Jesse nachyla się do przodu, wrywa mi wypociny Zoe z ręki, stawia ptaszka z minusem w górnym prawym rogu i papiery fruną na stos tekstów odrzuconych.

– *Voilà* – mówi.

Przez następną godzinę oboje czytamy, a profesor Strane sprawdza wypracowania za biurkiem pod ścianą, od czasu

do czasu podnosi się i wychodzi, żeby coś skserować albo nabrać wody do zaparzenia kawy. W pewnej chwili obiera pomarańczę i zapach owocu wypełnia całą salę. Gdy upływa godzina, wstaje od stołu, a on pyta mnie, czy przyjdę na następne spotkanie.

- Jeszcze nie wiem - odpowiadam. - Próbuję różnych rzeczy.

Uśmiecha się i odczekuje, żeby Jesse wyszedł, po czym mówi:

- Domyślałem się, że to mało rozrywkowe zajęcie.

- To mi nie przeszkadza. Nie jestem szczególnie towarzyską osobą.

- A to czemu?

- Nie wiem. Po prostu nie mam rzeszy przyjaciół.

Kiwa głową w zamyśleniu.

- Rozumiem. Ja też lubię być sam.

W pierwszym odruchu chcę zaprzeczyć, nie, wcale nie lubię być sama, ale może to i racja? Może z wyboru jestem odludkiem, wolę własne towarzystwo?

- Przyjaźniłam się z Jenny Murphy - wyznaję. - Z klasy angielskiego. - Słowa same płyną z ust, zaskakując mnie. Nigdy dotąd nie zwierzałam się w ten sposób nauczycielom, zwłaszcza mężczyźnie, ale on tak na mnie patrzy - łagodny uśmiech w oczach, podbródek podparty dłonią - że pragnę mówić, otworzyć się.

- Ach - wzdycha. - Z Królową Nilu.

Gdy zmieszana marszczę czoło, wyjaśnia, że jej fryzura na chłopczycę przypomina mu Kleopatrze, a słysząc to, czuję ukłucie w dołku. Zazdrość albo coś gorszego.

- Nie wydaje mi się, żeby miała aż tak świetną fryzurę - odpowiadam.

Profesor Strane uśmiecha się pod nosem.

- A więc przyjaźniłyście się. I co się stało?

- Zaczęła chodzić z Tomem Hudsonem.

Zastanawia się przez chwilę.

– Z tym, który ma baki.

Kiwam głową i myślę o tym, że nauczyciele prawdopodobnie klasyfikują nas i kategoryzują. Ciekawe, jakie ma skojarzenia, gdy ktoś wspomni o Vanessie Wye. O tej rudej. Tej, która zawsze jest sama.

– A więc przecierpiałas zdradę – stwierdza, mając na myśli moje rozstanie z Jenny.

Nigdy dotąd nie przyszło mi to do głowy i teraz czuję ciepło w sercu. Cierpiałam. Przecież nie było tak, że zraziłam Jenny do siebie nadmiarem uczuć albo nazbyt wielkim przywiązaniam. Nie, wyrządzono mi krzywdę.

Profesor Strane wstaje i podchodzi do tablicy, zaczyna ścierać tekst napisany podczas lekcji.

– Dlaczego postanowiłaś przyjść do naszego kółka? – pyta. – Luki w planie zajęć?

Kiwam głową; wydaje mi się, że nie warto kłamać.

– Profesor Antonova zasugerowała, że powinnam przyjść. Ale oprócz tego coś tam sobie piszę.

– Co?

– Przeważnie wiersze. Ale nie są dobre.

Zerka przez ramię i uśmiecha się, życzliwie i zarazem protekcyjnie.

– Chętnie przeczytałbym coś z twojej twórczości.

Mój umysł chwyta się słowa „twórczość”, jakby cokolwiek z tego, co piszę, było warte poważnego potraktowania.

– Dobrze – odpowiadam – jeśli pan profesor naprawdę ma ochotę.

– Mam. Nie prosiłbym, gdybym nie miał.

Czuję, że czerwienię się w reakcji na te słowa. Według matki moją najgorszą wadą jest odrzucanie komplementów z powodu niskiej samooceny. Muszę nauczyć się przyjmowania pochwał. To wszystko sprowadza się do pewności siebie, twierdzi mama, albo jej braku.

## PODPORZĄDKOWAŁA SWÓJ ŚWIAT TYLKO JEMU.

A on totalnie nią zawładnął. On – czterdziestodwuletni intrygujący nauczyciel literatury.

Nie była jedyną dziewczyną w jego życiu. Inne, już jako dorosłe kobiety, szukają sprawiedliwości, bo zrozumiały, że zostały skrzywdzone. Oczekują, że Vanessa będzie z nimi solidarna. A ona nie może tego zrobić, bo dla niej był dobry. Przecież to ją wybrał. Sama tego chciała. Wierzyła, że to miłość. Ale czy na pewno?

Zmuszona po latach do zdefiniowania na nowo dawnej relacji Vanessa miota się między przeszłością a teraźniejszością. Musi zdecydować: czy był to związek, czy została wykorzystana? Czy była to erotyczna fascynacja czy niezdrowy popęd? I czy była gotowa na taką relację, mając piętnaście lat?

Powieść **MOJA MROCZNA VANESSO** zestawia pamięć i traumę dorosłej kobiety z podeksycytowaniem nastoletniej dziewczyny – to prowokujący do myślenia i niemożliwy do stłumienia głos. Będziesz płakać z bezsilności i ze złością walić pięściami. Nie można czytać tej książki bez zaangażowania i nie można jej zapomnieć.

E-book dostępny na [woblink.com](http://woblink.com)

ISBN 978-83-8135-042-6



Cena detal. 39,99 zł



WYDAWNICTWO  
**OTWARTE**